

An abstract collage artwork featuring torn paper, orange, blue, and black elements. The composition is layered and textured, with various shapes and colors overlapping. A prominent orange shape is at the top, and a large blue textured area is in the center. A black silhouette of a chair is in the bottom left, and a black silhouette of a person is in the bottom right. The background is white with various colored patches and textures.

**Należowskie  
Opowieści**



# **Nałęczowskie Opowieści**



# O projekcie

---



---

Nałęczów jest miejscem niezwykle wyrazistym, o niepowtarzalnym uroku i kolorycie. Podczas projektu „Nałęczowskie Opowieści” zaprosiliśmy mieszkańców i turystów do odkrywania i wspólnego definiowania genius loci miasteczka. Co sprawia, że jest wyjątkowe? Jakie historie formowały jego tożsamość? Jakie przestrzenie i elementy składają się na niesamowitą aurę Nałęczowa?

Szukając odpowiedzi na te pytania zaplanowaliśmy cykl działań projektowych. Przez całe lato zapraszaliśmy

do udziału w spacerach prowadzonych przez regionalistów, architektów i historyków w sztuce. Tematyka tych terenowych lekcji historii była niezwykle różnorodna: od związków w Nałęczowie z rodem Małachowskich, biografii lokalnych społeczniczek i działaczek po dzieje lokalnej edukacji czy zagadnienia architektoniczne.

Bardzo ważną częścią projektu były międzypokoleniowe warsztaty artystyczne, literackie oraz ilustratorskie. Na wędrowną podróż po ogrodach pamięci zdecydowały się osoby w różnym wieku, o bardzo różnych doświadczeniach, losach, zawodach i pasjach.

---

Swoimi nałęczowskimi impresjami dzielili się podczas spotkań warsztatowych, które często nabierały rumieńców za sprawą gorących i pełnych pasji dyskusji. Jak na warsztaty przystało zajmowaliśmy się zarówno tematyką prezentowanych opowieści, jak i ich formą. Uczestnicy nie szczędzili sobie twórczych uwag, oczywiście z nutą humoru i pełną życzliwością. Snuły się opowieści pełne barw i zmysłowych szczegółów, z odrobiną pikanterii, często nostalgii i melancholii. Niektóre były żartobliwe, inne pełne powagi, niektóre piękne i wzruszające, inne zaś lekkie lub nasycone trudnymi emocjami.

Za podzielenie się swoimi wspomnieniami dziękujemy wszystkim autorom i autorkom, którzy udostępnili nam swoje, jakże różnorodne, czułe narracje:

Annie Antoszewskiej,  
Anecie Bednarczyk,  
Rafałowi Bilińskiemu,  
Helenie Broniewskiej,  
Jolancie Jakiewicz,  
Jerzemu Jakiewiczowi,  
Wiesławie Kadzikiewicz,  
Izabelli Nowotny,  
Marii Przybyłko,  
Sabinie Seroczyńskiej-Kozubie,  
Janowi Stępniewi,  
Marii Szyszkowskiej,  
Krzysztofowi Zalechowi.

Spisane opowieści stały się inspiracją podczas warsztatów ilustratorskich. Przy wspólnych stołach usiedli studenci, uczestnicy Warsztatów Terapii Zajęciowej i seniorzy. Do stworzenia ilustracji wykorzystywano dawne fotografie, fragmenty odręcznie pisanych notatek, starych książek czy gazet. Powstały dzieła wyraziste, odważne, w nieoczywisty sposób odchodzące od początkowych widoków w Nałęczowa. Nie zależało nam na uroczych obrazkach lecz na autentycznym poszukiwaniu i chwytności istoty „Nałęczowskich Opowieści”. Prace były wykonywane kolektywnie - fragmenty jednych dzieł wtapiały się w inne, ilustracje wędrowały międzystolikami, uczestnicy dzielili się pomysłami i inspiracjami. Dlatego też nie zdecydowaliśmy się na podpisywanie każdej z prac z osobna - a jedynie wymienieniem wszystkich autorów i autorek.

W projekcie wzięli udział:

Józef Blikowski,  
Piotr Borkowski,  
Kamila Chołżyńska,  
Krystyna Chróścicka,  
Monika Dados,  
Tomasz Depta,  
Ewa Gugąła,  
Łukasz Krajewski,  
Tomasz Kędziora,  
Monika Lis,  
Katarzyna Pomorska,  
Irena Posuniak,  
Krzysztof Suszek,  
Grzegorz Szymczyk,  
Artur Wiśniewski,  
Paweł Wrześniewski,  
Marcin Żurek.

Serdecznie dziękujemy wszystkim uczestniczkom  
i uczestnikom warsztatów!

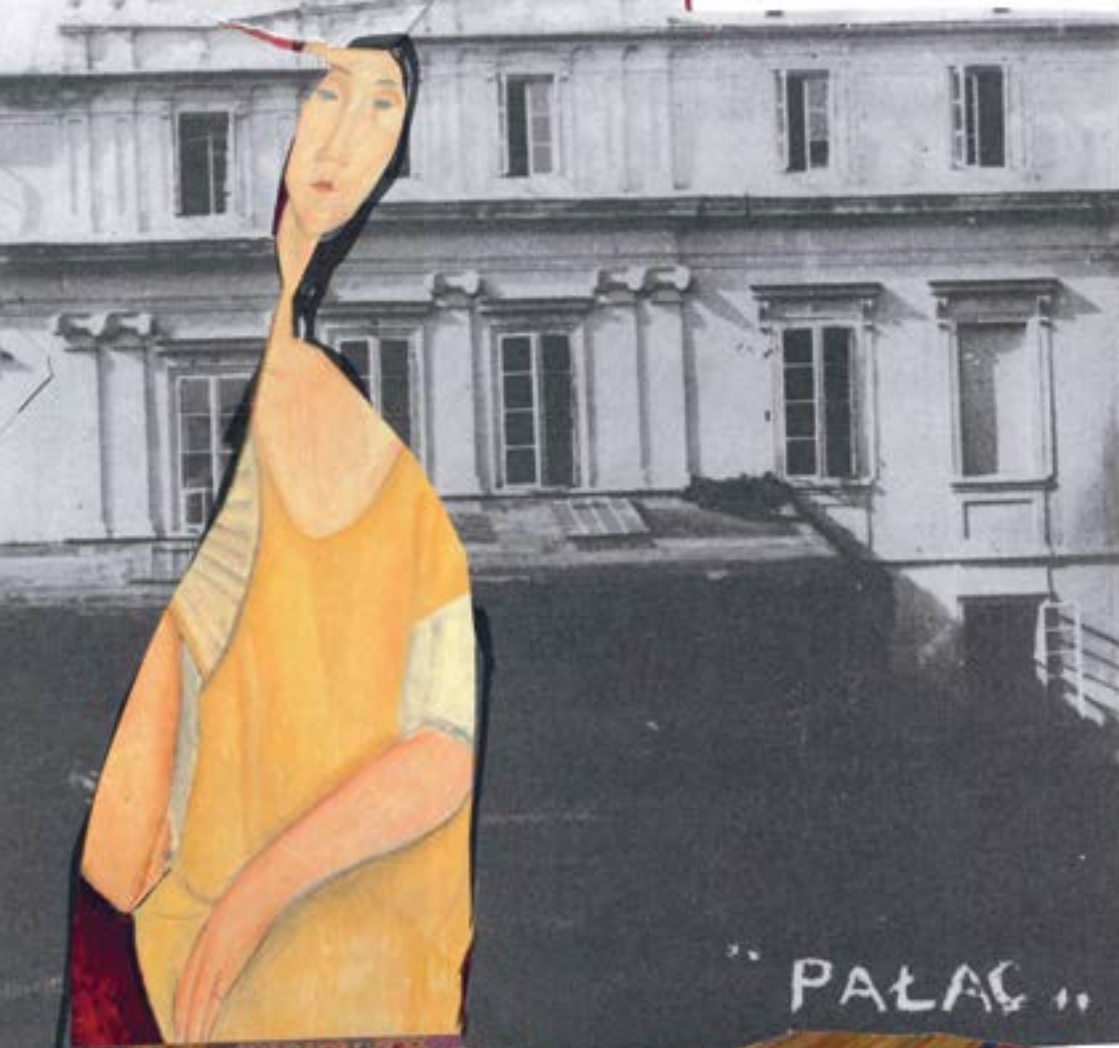
*Zespół Nałęczowskiego Ośrodka Kultury*



NAŁĘCZÓW.







" PALACE "



---

## OKIEM HISTORYKA

### ZAKŁAD LECZNICZY W NAŁĘCZOWIE

Początki ośrodka kuracyjnego w Nałęczowie są związane z rodem Małachowskich. Już w 1817 roku właściciele Bohotnicy rozkazali zbadać właściwości lokalnych wód. Po wykazaniu niezwykłych zalet nałęczowskich źródeł Małachowscy rozpoczęli budowę pierwszego zakładu kąpielowego, z którego usług korzyść stała szlachta zaprzyjaźniona z rodem właścicieli.

Choć Nałęczów jak uzdrowisko szybko zyskiwał na popularności, klęska powstania listopadowego położyła się cieniem na rozwoju ośrodka. Upadłe i zdewastowane łaźnie zostały odbudowane dopiero w 1880 roku z inicjatywy lekarzy Sybiraka w: Fortunata Nowickiego, Wacława Lasockiego i Konrada Chmielewskiego. Działający w drugiej połowie XIX wieku Zakład Leczniczy w Nałęczowie przyciągał kuracjuszy z całego Królestwa

Polskiego, przyczyniając się do kulturalnego rozkwitu miejscowości. Przebywali tu przedstawiciele polskiej inteligencji, jak choćby Henryk Sienkiewicz, Władysław Tatarkiewicz, Stefan Żeromski czy Aleksander Głowacki, który w swych felietonach wskazywał często na zalety lokalnego powietrza i wód.

Współcześnie Nałęczów pozostaje najsłynniejszym uzdrowiskiem Lubelszczyzny, przyciągając corocznie tysiące kuracjuszy z całej Polski.

*Na podstawie: Nałęcz w. Spacer z Bolesławem Prusem po dawnym i współczesnym uzdrowisku, Towarzystwo Przyjaciół Nałęczowa, Nałęczów 2009*

## PAŁAC MAŁACHOWSKICH

W świadomości mieszkańców Nałęczowa ikoną miasta pozostaje niezmiennie, wzniesiony w latach siedemdziesiątych XVIII wieku, Pałac Małachowskich. Zbudowany na polecenie marszałka Sejmu Wielkiego, Stanisława herbu Nałęcz przez stulecia pozostał kulturalnym centrum uzdrowiska.

Historia pałacu łączy się nierozdzielnie z powstaniem samego miasta oraz pierwszego ośrodka leczniczego. Wraz z ukończeniem pałacu zmienił się status osady, na której fundator postanowił ulokować swoją reprezentatywną siedzibę. Od 1772 roku zachodnią część wsi Bochoznica zaczęto nazywać Nałęczowem. Sam Pałac miał pozostać symbolem tak lokalnej władzy jak i statusu starosty wawolnickiego Stanisława Małachowskiego. Jego wykonał główny architekt, Ferdynand Nax, oddał w bryle budynku i wewnętrznych sztukateriach ducha czasu przełomu sztuki barokowej i klasycystycznej.

W ciągu ostatnich dwóch stuleci pałac był świadkiem dramatycznych

wydarzeń, powstań niepodległościowych oraz tragicznych wydarzeń II wojny światowej. Zwłaszcza okres niemieckiej okupacji przyczynił się do dewastacji budynku, który został przywrócony do swojej pierwotnej świetności dopiero w latach 60 XX wieku przez prace konserwatorskie prowadzone pod kierunkiem Władysława Tatarkiewicza.

Wyjątkowym pomieszczeniem pałacu pozostaje do dziś Sala Balowa, która mimo licznych modernizacji budynku, zachowała się w niezmiennym stanie. Zuwagi naświetlaną akustykę współcześnie odbywają się tam liczne koncerty, recitale i odczyty.

We współczesnej panoramie pamięci miasta, nałęczowski pałac pozostaje obiektem o wyjątkowej sile przekazu. Przypomina mieszkańcom oszlacheckiej genezie Nałęczowa, miejsca, które miało ukazać potęgę wielkiego rodu Małachowskich, a wokół którego rozkwitło lokalne uzdrowisko.

*Na podstawie: Michał Tarka, Dzieje Nałęczowa, Nałęczów 1989.*

# Mój Pałac Małachowskich

HELENA BRONIEWSKA

---

Pałac Małachowskich mieści się w Nałęczowie w parku. Do koła niegorosnąbujne drzewa różnych gatunków. Pałac został pobudowany przez Stanisława Małachowskiego. Stanisław nie miał potomstwa, pałac zapisał bratu Bronisławowi (Antoniemu), który był ekologiem. Badał zawartość wód i ziemi nałęczowskich, stwierdził, że źródła i ziemia nałęczowska zawierają minerały lecznicze jak żelazo, salicyli i inne. Po za tym bujna przyroda wpływa kojąco na człowieka i tak powstało uzdrowisko. Pałac wiele lat służył kulturze (lata 60-te, 70-te, 80-te).

W pałacu mieści się piękna sala balowa akustyczna, w której odbywały się koncerty muzyki klasycznej. Występowali tu pianiści, laureaci konkursów w szopenowskich jak pani Halina Czerny-Stefańska, Hesse-Bukowska, Adam Harsiewicz, Paleczny, Olejniczak. Występowała również pianistka z Białorusi, Lili Batiriewa nagrodzona nagrodami całego świata. Występowali w pałacu śpiewacy operowi jak Teresa Żylis-Gara, Bogna Sokorska, Hali-

na Mickiewiczówna, Bernard Ładysz, jego żona śpiewaczka pani Leokadia.

Następni śpiewacy: imion nie pamiętam. Hiolski, Paprocki, Paulos Roptis, początkujący Tadeusz Szkukier, obecnie śpiewa na światowych scenach. Przyjeżdżała do uzdrowiska pani Maria Fołtyn, wielka miłośniczka Moniuszki, śpiewała w pałacu tylko kompozycje Moniuszki, rozsławiała go na cały świat, jeździła nawet do Japonii, prawdopodobnie z operą „Halka”.

W sali balowej było spotkanie z panem Melchiorem Wańkowiczem, korespondentem wojennym. Odbywały się również spotkania i szkolenia personelu medycznego. Przyjeżdżali lekarze i profesorowie medycyny przekazując nowoczesne wiadomości z medycyny.

Na parterze pałacu była kawiarnia i sala taneczna z bardzo spokojną muzyką, przy której chorzy na serce kuracjusze mogli potańczyć.

Sala balowa pałacu Małachowskich-ciekawa kolorystyka, pomyślałam, gdy pierwszy raz się w niej znalazłam. Ściany i sufit białe, sztukateria w ciemnej zieleni i brązie. Okropnie- mówili mieszkańcy Nałęczowa. Przed remontem była kremowa ze złotą sztukaterią. Okropnie- pomyślałam sobie.

Sala była tak zorganizowana, że scena na podniesieniu była przy krótszej ścianie, duża scena była z prawego boku i z tyłu. Pewnego dnia występujący zespół kameralny odwrócił krzesła. Grał na tle okien, siedzieliśmy tyłem do podium z lewej strony okna wzdłuż sali. Za oknami pejzaż parkowy, korony drzew w kolorach ciemnej zieleni i brązu. Kolory wchodziły do wnętrza- co za harmonia.

Przekonałam się że kolorystyka kremowo-złota była z pewnością nie trafiona.







JERZY JAKIEWICZ

---

Mój pierwszy bal sylwestrowy.

Lata 60-te, orkiestra dęta (żołnierze i strażacy)

MARSZ RADECKIEGO

Siedziba TPN.

Przynoszenie ciasta z „Eweliny”, na imprezy.

Nadzieja na restaurację pałacową.



JOLANTA JAKIEWICZ

---

Widok pałacu nieodmiennie kojarzyć mi się będzie z tańcem. Przysiadalam na ławeczce i patrzyłam jak w okresie letnim kuracjusze brali udział w tzw. fajfach i natychmiast uruchamiała się moja wyobraźnia. Wędrowałam w czasie i widziałam bale odbywające się w pałacowych wnętrzach. Czułam jak w powietrzu unosi się miłość, oczekiwania, marzenia...



Pamiętam, że miałam pilną sprawę do Pańz muzeum Prusa, które w tamtym czasie miało swoją siedzibę na ostatnim piętrze Pałacu Małachowskich.

Wchodzę do budynku drzwiami znajdującymi się z tyłu obiektu. Na parterze w szatni siedzi wysoki, łysy jegomość i poczytuje gazetę. Słyszac, że ktoś wchodzi podnosi głowę i pyta w czym może pomóc. Szybciutko instruuje mnie jak mam dotrzeć do celu. Pierwsze kroki, które stawiam na schodach, powodują że mam ciarki na plecach. Pierwszy raz jestem w tym historycznym miejscu i czuje, że historia wyziera się z każdego kąta. Im wyżej, tym schody bardziej skrzypią, wywołując we mnie

lekkie obawy, czy zaraz się nie zawalą. I myślę sobie, że to głupie, one nie jedno zniosły. Na każdym piętrze widzę pokilka parjasnych drzwi. Kiedyś zapewne były białe, ale czas zrobił swoje i straciły już swój blask i kolor. Zastanawiam się, co z nimi może się znajdować, bo wszystkie są pozamykane. Ale aż mnie korci, żeby któreś z nich otworzyć. Idę jednak dalej, bo cel jest wyżej. Im wyżej tym jest jaśniej...

Zapach jaki się unosi wokół mnie jest fascynujący. Nie wiem czy to dobre określenie, ale na tę chwilę trudno mi znaleźć inne.

Jest wiele emocji - radość, że tu wreszcie jestem, podniecenie, lekkie odrętwienie. Szkoda, że tak późno tutaj zawitałam.

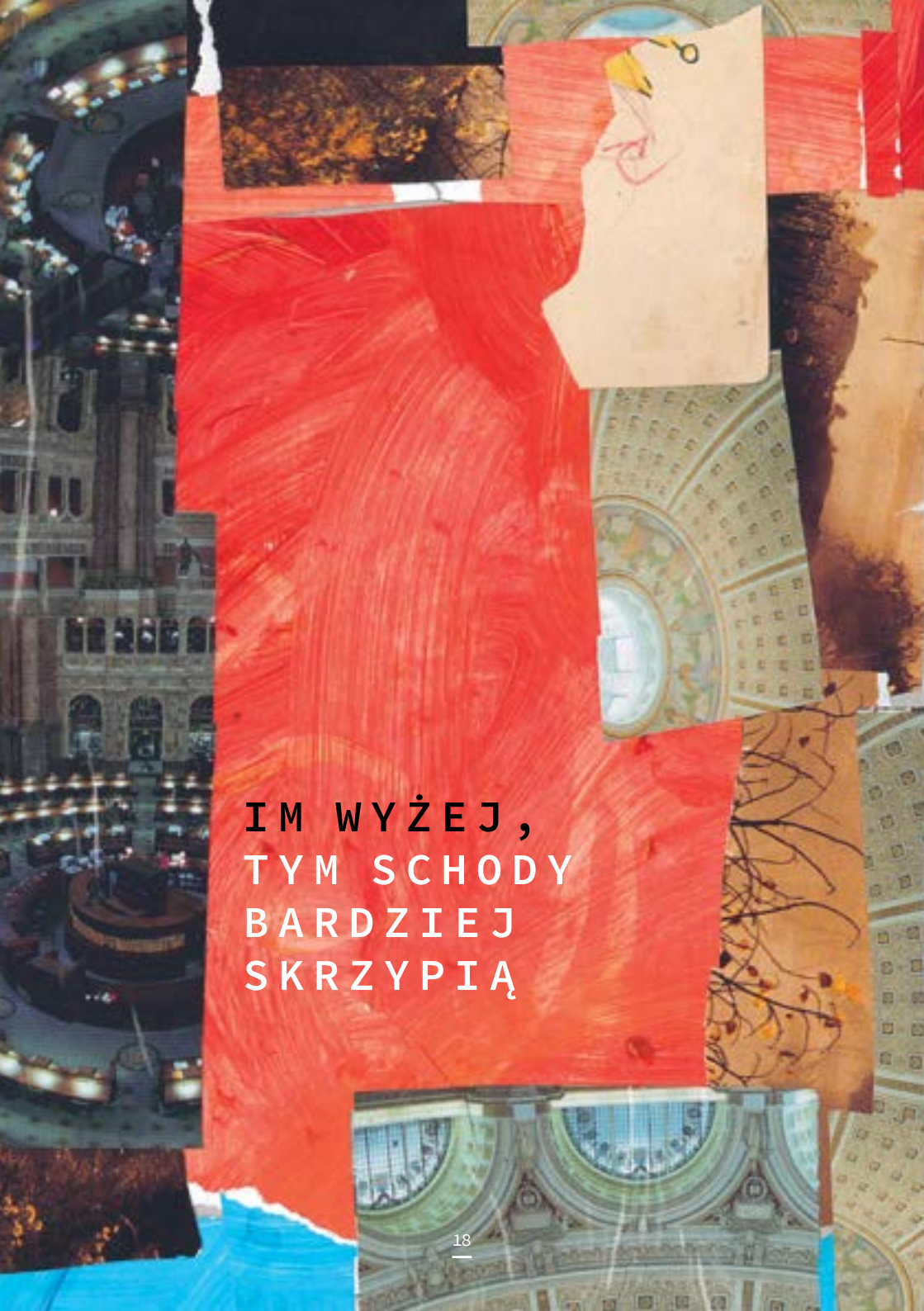


## RAFAŁ BIELIŃSKI

---

Wspomnienie dzieciństwa przynosi mi na myśl Pałac Małachowskich. Obiekt usytuowany w parku. Zawsze to była jakaś tajemnica, to było coś nieosiągalnego. Pamiętam tarasze stolikami. Było w tych wizytach w kawiarni coś tak nobilitującego. Człowiek czuł się ważny.

Ciastko czy lody smakowały tam wyjątkowo. Do tego jeszcze ta fontanna przed budynkiem, tulipanowiec zasadzony przez właściciela. Zawsze gdy do rodziców przyjeżdżali znajomi była szansa na pobyt w kawiarni. A gdy już to mama albo tata kazali mi się przebrać w odświętne ubranie, to był pewniak- wizyta w Pałacu.



IM WYŻEJ,  
TYM SCHODY  
BARDZIEJ  
SKRZYPIĄ

## JAN STĘPIEŃ

---

Pałac Małachowskich zawsze będzie mi się kojarzył z balem Sylwestrowym. Nie pamiętam dokładnej daty. Na g rze, w pięknej sali zgromadzonych było kilkadziesiąt par. Gdy wszyscy zaczęli tańczyć z przerażeniem pomy-

ślałem, że za chwilę podłoga pod nogami tańczących załamie się i runie. Oczywiście na szczęście podłoga wytrzymała ciężar tańczących i dotrwałem z Marią do białego rana. Stwierdziła, że jest niewytańczona a przecież tańczyliśmy bez przerwy kilka godzin!



## WIESŁAWA KADZIKIEWICZ

---

Budyneku wejścia do parku zapraszał dźwiękami muzyki na wieczorki taneczne kuracjuszy. Pełen ludzi upojonych muzyką i trunkami. Pięknie oświetlo-

ny w późne wieczory i w nocy. Poznawszy historię rodziny budowniczych i właścicieli budynku wdzięczna jestem, że powstał i został wpisany w historię Nałęczowa.

## MARIA SZYSKOWSKA

---

Piękne wnętrze sali balowej tego pałacu skojarzyło mi się trwale jako wspinałe tło organizowanych przez TPN spotkań ze mną. Tłumnie przybywaliśmy przede wszystkim mieszkańcy Lublina i wywiadywały się interesujące dyskusje natury filozoficznej. Ale wyrzucono mnie z TPN. Odczyty się skończyły, ale bywało, że konferencje międzyśrodowiskowe, ogólnopolskie, filozoficzne, czasem międzyna-

rodowe toczyły się częściowo w „Ewelinie” i częściowo w pałacu, przerywane ciastkami przywiezionymi przez J. J. z „Eweliny”. Jednak moje najmocniejsze przeżycia związane są z tańcami na parterze pałacu w kawiarni, bowiem wyjątkowo grała orkiestra złożona m. in. z pianisty, trąbkarza, saksofonisty, perkusisty, etc.

## KRZYSZTOF ZALECH

---

O Pałacu zawsze myślę w kontekście historii miłosnej. Wybudował go człowiek bardzo zakochany w swojej żonie. Stanisław Małachowski, poślubiwszy Mariannę Potocką zbudował dla niej ten Pałac, bo ten starszy o wiek był według niego zbyt skromny i mały dla jego ukochanej żony. Przykro mi, że los spłatał mu figła.

Po skończeniu budowy, kiedy myśleli już o przeprowadzce, Marianna umiera. Stanisław sprzedaje w pałac i wyjeżdża z Nałęczowa.



**NAŁĘCZÓW –  
– MIASTO  
PRZESYCONE  
MAGIĄ MIEJSC  
I OSÓB.  
GENIUS LOCI.**





---

## OKIEM HISTORYKA

### WILLA „GIOIA

Willi ta, często pojawiająca się we wspomnieniach mieszkańców, sięga swoją historią do 1927 roku. Ufundowana została poleceniem kalnego mecenasa Wacława Sałkowskiego przez znanych lubelskich architektów w na wzór rzymskiej willi Madama z XVI wieku. Włoskie korzenie budowli odzwierciedla jej unikalna w nałę czowskim klimacie nazwa: „gioia” oznacza radość.

Willi jest dla Nałę czowa ważnym *locus memoriae*, miejscem pamięci. To tutaj krzyżuje się historia lokalnego uzdrowiska ze szlakami polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej. W murach „Gioi” odpoczywał w trakcie urlopów i świąt Józef Beck, mąż córki Sałkowskiego Jadwigi. Mariaż ten włączył Nałę czów do miejsc wielkiej międzywojennej polityki sprowadzając w rejony pod lubelskie postaci głównych architektów II RP. Na zapro-

szczeniu Becka bywał tu m.in. Józef Piłsudski,

Klasyczne piękno willi okazało się być jej przekleństwem. Gdy w trakcie II wojny światowej Nałę cz wszedł w skład Generalnego Gubernatorstwa, „Gioia” stała się siedzibą lubelskiego gubernatora Ernsta Emila Zönera, następnie generała SS Odilo Globacnika.

Po wojnie, w okresie lat 50 XX wieku budynek został przejęty przez Fundusz Wczasów Pracowniczych, co przyczyniło się do poważnej dewastacji budowli. Na początku XXI wieku „Gioia” została wykupiona przez osobę prywatną i obecnie działa jako pensjonat.

Na podstawie: <http://www.ormonderesorts.pl/willa-gioia/>

# Mrok, blask i lalka szmacianka

ANNA ANTOSZEWSKA

---

Rok 1945 mam 6 lat, dopiero i aż 6 lat wojny. Nałęczów, Tolin i Gioja to moje najpiękniejsze wspomnienia powracające przez lata z różną mocą obrazów, ale właśnie: obrazów. Droga z Lublina z moją ukochaną na zawsze Ciocią. Nie pamiętam rozstania z moją Mamą i Bratem, nie jest to moje pierwsze wspomnienie. Obraz podróży jest zatarty, z przekazu. Wiem, że była tam chłopska furmanka. Może turkot wozu, wyboje na drodze uspiły ten obraz.

Tolin, tę nazwę pamiętam przez całe życie. Pora roku to wczesna wiosna (według informacji późniejszych), a moje skojarzenie to jesień. Czuję ciągle zapach butwiejących liści i wilgotności. Widzę siebie, malutką postać krążącą wokół klombu. Nie pamiętam co robię, czy mam jakieś zabawki. Dom w środku pełen mroku, słońce jakby stałe zachodzące. Cisza, zamknięte drzwi, już nie mogę wychodzić. Dzisiaj myślę o tym: to skulenie, lęk. Płyta kuchenna i coś przypieczonego

o specyficznym zapachu, który przez wiele lat kojarzył mi się z zapachem pieczonych ziemniak w na polu. Z przekazu wiem, że to był burak cukrowy.

Mając wiedzę o tamtym czasie rozważam dzisiaj młodość i ciszę domu. Wtedy toczyły się walki żołnierzy podziemną nową władzą. Obok Tolina stał komisariat milicji.

Nagle Tolin znika i budzę się w Gioi. Jasny, duży pokój z białymi meblami. Przesztrzeń, drzewa, ogród zupełnie inny aniżeli u mojej cioci w Lublinie. Ciągłe pojawia się ogród, mogę być w nim, nikt mnie nie ogranicza, jestem w nim najczęściej sama. To wspomnienie przechodzi w obraz pojawiającej się szmacianej lalki. Jej wspomnienie nie jest zwykłe, nigdy później jako dziecko takiej nie spotkałam. Jest artystycznie wykonana. Sina, piękna, kojarzy mi się z kolo-rem niebieskim.

Wspomnienie lalki wraca silnie w 2000 roku, moja córka przynosi mi artystyczną szmacianą lalkę. Natychmiast ją kupuje, jadę w tym czasie za granicę na dłużej. Zawożę

lalkę młodej, niepełnosprawnej dziewczynce, emigrantce z Rosji. Jest nią zachwycona. Za jakiś czas trafiam na lalkę wykonaną artystycznie, szytą i z ceramiki, nie mogę się oprzeć i kupuje.

W Nałęczowie, od lat siedemdziesiątych, odkąd zamieszkuje tu moja Przyjaciółka, jestem często. Zawszę biegnę do Tollin i Gioi.





Se adreftai  
Hataim on  
any is  
entice jereky puluicosa  
hale pabr- futor,  
to



# Tamara i perły

JERZY JAKIEWICZ

---

Jednym z właścicieli willi pod Matką Boską był generał carski, który miał córkę, przepiękną kobietę okaukaskiej urodzie. Ta piękna dziewczyna zakochała się w Polaku, w oficerze armii carskiej, bo w wczas Polska była pod zaborem rosyjskim. Jak stwierdziła później moja babcia, nieboszczka Maria, był to hrabia nieposiadający żadnego majątku. Tatuś, generał carski, nie chciał zezwolić na mezalians, w związku z czym odmówił teź Tamarze pozwolenia na zamążpójście. I ta Tamara, w takim niebieskim pokoju (jest to pokój narożny od południowego zachodu), z broni służbowej swojego ojca odebrała sobie życie.

W tym domu znajduje się portret Tamary, w owalu, w złotej ramie. We włosach ma sznur pereł. Ten portret zawsze wisiał w niebieskim pokoju. W połowie lat 60. podczas jednej z wielu

impresz rodzinnych przyjechała moja ciocia Wacia i jako jedyna spała w tym pokoju. Proszę sobie wyobrazić jakie było zdziwienie moje i całej naszej rodziny, kiedy o 12 w nocy, gdy wszyscy spali pogrążeni w głębokim śnie, nagle rozległy się histeryczne krzyki: „Ewka, ty wariatko! Przecież te perły z tego obrazu sypią się na podłogę!”. I cóż ja ujrzałem? Ujrzałem ciocię Wacławę w długiej, białej koszuli, roztrzęsioną, krzyczącą, na głosie papiloty z „Trybuny Ludu”. Od tamtej pory w tym pokoju do dzisiaj nikt nie odważył się już spać.





# Nałęczowski genius loci

IZABELLA NOWOTNY

---

Przyjechałam pewnego pięknego sierpniowego popołudnia. Poraz pierwszy do Nałęczowa. Nie przypadkowo. Szukałam miejsca na ziemi na dalsze lata życia.

Miejsce na ziemi... Powinno być dalekie od miejskich ośrodków, żeby znaleźć spokój, ale z kulturą we wszystkich jej aspektach: historią, kinem, teatrem, muzyką, festiwalami... Przyjaciółmi. Może kurort?

Nałęczów znałam jedynie ze słyszenia. Przede wszystkim z opowieści wujostwa, które przyjeżdżało tu „do wód”. Gościli w willi „Słoneczna” mecenasa L, przyjaciela wuja z czasów studiów na KULu. Przyjaźnili się do śmierci.

Tego popołudnia wjeżdżałam do Nałęczowa od strony Puław. Zatrzymałam się przy Batorówce. Rosło tu kilka sosen. Sierpniowe ciepło zaprawiało powietrze wonią olejków w terpentynowych – zapach wakacji mojego dzieciństwa. To już dobrze wróżyło.

Sama Batorówka nie zrobiła na mnie wrażenia, a przecież, jak się później dowiedziałam, jest to budynek zaprojektowany przez przyjaciela Stefana Żeromskiego, Jana Koszycę Witkiewicza,

czego dziś już nie można się domyśleć. Po PRLowskim remoncie nie wykazywał żadnych znamion talentu Koszycyca. Przeprowadzony przed kilku laty drugi remont, post-transformacyjny, nie zdołał już niczego pogorszyć.

Postanowiłam rozejrzeć się po miasteczku - nie śmiecie się, wiem, że to absurd - samochodem. Po prawej stronie park, po lewej wille, drewniane w stylu szwajcarskim bądź zakopiańskim, murowane w stylu secesyjnym; no gdzieś tam te pudełka z lat sześćdziesiątych (Nałęczów nie ustrzegł się przed nimi). Ciekawe ukształtowanie terenu, lessowe wąwozy - miejsce do zakochania się. Zostałam. Często żartuję, że Nałęczów, to jedyna w moim życiu miłość od pierwszego wejrzenia.

Po latach szkoły, studiów, pracy byłam wolna wolnością człowieka, który pozbył się obowiązków w nowym środowisku. Zignorowałam nauki typu „starych drzew się nie przesadza”. Miałam nadzieję, że szybko znajdę zaufane otoczenie, ba przyjaciół. Ale Nałęczów rzadzi się własnymi prawami.

Tutejsi dzielą społeczność nałęczowską na „ptoki, krzoki i piniki”. Ptoki to ci, którzy przybyli z chęcią osiedlenia się. Zmniejsz



czy bardziej dalekiego świata, nierzadko z poczuciem wyższości, z wyobrażeniem, że coś reprezentują, że będą mieli czym zaimponować, czegoś tutejszych nauczyć. Środowisko szybko rewiduje to złudne wyobrażenie o sobie. Więc odfruwają.

Krzaki przybyli z tymi samymi intencjami, ale z większą dozą uporu i samozaparcia. Zapuscili płytkie korzenie. I po wielu nieudanych próbach wprowadzenia zmian, zmęczeni, zniechęceni usuwają się w nałęczowski niebyt. Drzewo z nich nie wyrośnie. Może i lepiej, bo przecież niczego z Nałęczowa nie rozumieją.

Pnioki to ci, z głębokimi korzeniami, z dziada pradziada, z życiorysami pełnymi wspomnień powstańców styczniowych, kresowiak w, partyzantów, żywa historia; znający się nawzajem, rozumiejący opowieści każdego kamienia, dumni ze swojego dziedzictwa. I zamknięci na wpływy ptok w i krzok w.

Czy masz już grono przyjaciół? - po dwóch latach zamieszkiwania w Nałęczowie zapytała moja serdeczna koleżanka z przedemerytalnego życia. Dobrze sobie, pyta o całe grono. Tymczasem ja po dwóch latach ciągle jestem „ptokiem”. Nie mam ani jednego. Za wyjątkiem... Za wyjątkiem psa.

Powoli poznawałam Nałęczów, jego osobliwości, jego

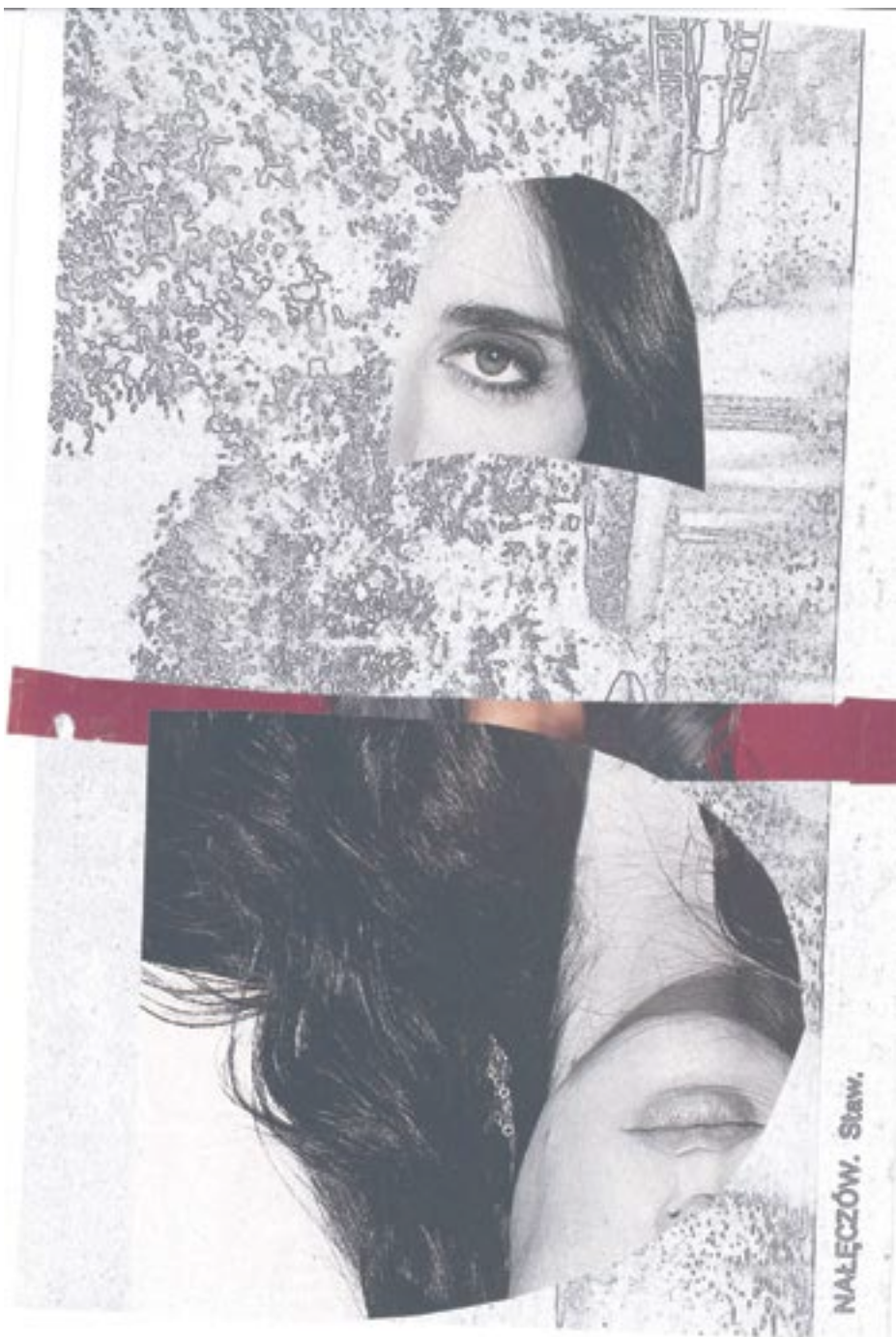
czar. Zaznałam spokoju w tym wirującym świecie. Już po latach zatrzymał mnie na ulicy młody człowiek: Co jest ciekawego w Nałęczowie? Mężczyzna zadający mi to pytanie nie wyglądał na takiego, kto rego zainteresowałyby trzy kraniki z wodą mineralną w palmiarni. Raczej tor wyścigowy dla Harleyi, ale Nałęczów nie ma go w ofercie. - No może genius loci... - wycedziłam przez zęby spuszczać głowę, jakby brak jakiegokolwiek toru wyścigowego był moim niedopatrzeniem. Aaaaaa - mężczyzna zawiesił głos. Kiedy znów spojrzałam w górę mężczyzny już nie było. A miałam mu jeszcze tyle do powiedzenia o pisarzach, o filozofach, którzy tu przebywali, o koncertach, które się odbywają... Jęgostrata - pomyślałam po chwili zastanowienia.

Genius loci, duch miejsca - może być opiekuńczy. Niewidoczny dla oczu, kapryśny, nie z każdym flirtuje, nie każdemu daje się poznać. Czy wszyscy bywalcy Nałęczowa poddawali się jego urokowi? Bolesław Prus, Władysław Tatarkiewicz z pewnością tak, Stefan Żeromski, Henryk Sienkiewicz - raczej nie. Dziś trudno dociec, czy to oni zignorowali czar miasteczka, czy genius loci ich zignorował.

GENIUS LOCI - CO SIĘ  
TAK NAPRAWDĘ NA NIEGO  
SKŁADA? CO SPRAWIA,  
ŻE MIEJSCE UWAŻANE  
JEST ZA JEDYNE W SWOIM  
RODZAJU?

NA PEWNO NATURA, NA PEWNO  
ARCHITEKTURA. ALE SKĄD  
TA ENERGIA? TEN BŁOGO-  
STAN? TA LEKKOŚĆ? CZY  
GENIUS LOCI RZECZY-  
WIŚCIE PRZYPISANY JEST  
MIEJSCU - SPOSÓB

W JAKI MIEJSCE ODDZIAŁU-  
JE NA NAS, CZY MOŻE NAM  
- TO SPOSÓB, W JAKI MY  
ODCZUWAMY MIEJSCE?  
ULEGAJĄC ZBIOROWEJ  
SUGESTII? ILE CZA-  
SU POTRZEBA, ŻEBY GO  
ODNALEŹĆ, W MIEJSCU,  
W SOBIE?



NAŁĘCZÓW. Staw.

# Źródło miłości

KRZYSZTOF ZALECH

---

Do Parku Zdrojowego weszliśmy jedną ze wschodnich bram. Co za widok, co za zapachy!

Kwitły bzy, jaśminy, czeremchy, zieleń drzew i krzew w mieniła się różnymi odcieniami w ciepłym porannym słońcu. Cudownie śpiewały ptaki, brzęczały pszczoły, latały zwiewne motyle. Serca zabiły mocniej.

Czy trafiliśmy do rajów? Aleja Kasztanowa zawiodła nas prosto na Wyspę Miłości. Przywitał nas Elf, strażnik tej wyspy. Zdawało się, iż gra tylko dla nas na tym zaczarowanym flecie. Pełną pierśią wdychaliśmy nałęczowskie świeże powietrze, podziwialiśmy staw, po którym pływały majestatycznie białe dumne łabędzie, a na samym środku stawu królowała fontanna, zwaną wodną panną lub pierwszą damą Nałęczowa.



W Palmiarni i Pijalni piliśmy orzeźwiającą wodę ze Źródła Miłości. Odpoczywaliśmy w otoczeniu palm, juk, dracen i innych roślin egzotycznych. Podziwialiśmy popiersia ludzi zasłużonych dla miasta, a zwłaszcza dla uzdrowiska. Do niewielkiej fontanny wrzuciliśmy jakieś drobne monety, koniecznie przez lewe ramię, aby jeszcze tu kiedyś powrócić.



# Zachwycił mnie

MARIA PRZYBYŁKO

---

Nałęczów zachwycił mnie, nie tylko swoją urokliwą naturą, znalazłam tu również dużo aspektów radujących moją wrażliwą duszę.

Przepiękny Pałac Małachowskich, w którym odbywało się mnóstwo muzycznych i artystycznych wydarzeń: coroczne lipcowe Divertimento. Lubelska Fiharmonia, pod batutą prof. Adama Natanka, zachwycała niezwykle pięknymi koncertami, zarówno muzyki poważnej, jak i lekkiej, operetkowej. Gościł w Nałęczowie słynny na całą Europę Jerzy Maksymiuk ze swoją orkiestrą. Trio rodziny Wilkomirskich grało cudowną muzykę skrzypcową. Występowali znakomici polscy aktorzy: Daniel Olbrychski deklamował poezję K.C. Norwida, przyakompaniowaniem Jerzego Derfla. Wojciech Siemion opowiadał barwnie o swojej pracy aktorskiej i o jego ukochanych Petrykozach, gdzie stworzył swoje muzeum kultury ludowej! Pałac gościł Krystynę Janę, Barbarę Wachowicz, Janusza Głowackiego, Alicję Majewską i Włodzimierza Korcza. W okresie świątecznym odbywały się

koncerty kolęd - niezapomniany głos Ewy Tabaczewskiej. Koncerty dzieci z Prywatnej Szkoły Muzycznej p. Violety Kos.

No i oczywiście wspaniałe bale sylwestrowe w przepięknej Sali Koncertowej Pałacu. Panie w pięknych toaletach, panowie we frakach, doborowa orkiestra, pyszne dania! Bal trwał czasami do 6-ej nad ranem. Pamiętam taki, gdy na pustej sali wirowałam zupełnie sama, a orkiestra grała coś pięknego!

Nie sposób nie wspomnieć o działalności Nałęczowskiego Ośrodka Kultury, kierowanego przez wiele lat przez Bogumiłę Gałat, a potem przez Jadwigę Bednarczyk, który był miejscem wspaniałych, corocznych Międzynarodowych Festiwali Pianistycznych, organizowanych przez Kazimierza Brzozowskiego i jego małżonkę, Tomoko Mack Brzozowską. Na festiwalu te przyjeżdżali pianiści z całego niemal świata.

Pamiętam też koncerty Bellcanto, gdzie brylował przepiękny sopran Hanny Samson i jej cudowne suknie [toalety]!

Tyle jeszcze wspomnień pozostało, nie sposób o wszystkich opowiedzieć.



...acum ...  
I pier ...  
ate ...  
nu ...  
...ze stă  
...a b  
... b  
...du

...să  
...a  
...de

3M). BY  
LUTUJACI  
UY. CIBASTIKO

PEGOJES

LIPAN

SRBOY

WA P

SEM

MO

DIE

A

EA C

M. Tachonski

# Namalować obraz

SABINA SEROCZYŃSKA-KOZUBA

---

O mojej jesieni życia w Nałęczowie zdecydowało piękno nałęczowskiego parku, który po raz pierwszy ujrzałam jadąc do Lublina, by rozpocząć studia. Barwy złotej polskiej jesieni i nastrój tego miejsca tak mnie urzekły, że pojawiła się myśl, „na emeryturze zamieszkać w Nałęczowie”. Pomysł (później zaakceptowany przez męża) zrealizowaliśmy 1.06. 2000r, przeprowadzając się ze Śląska, czyli już 20 lat jestem Nałęczowianką z wyboru.

Szczególne miejsce w moich wspomnieniach mają coroczne „Maj wki z Panem Prusem”, odbywające się na terenie parku. Uczestniczyłyśmy w nich (niemal wszystkie „Entuzjastki”), jako „Emancypatki Prusa” w strojach własnoręcznie uszytych wg wzorów K. Zaniewskiej. Niezapomniany piknik odbywał się na trawniku w towarzystwie przypadkowych gości z Warszawy.

Mile wspominam koncerty Festiwalu Wokalnego „Belcanto” w latach 2002-2014, szczególnie trzeci a był to koncert galowy. Odbył się w magicznej, nocnej scenerii nałęczowskiego parku. Pod rozgwieżdżonym nie-

bem najpiękniejsze arie płynęły z wyspy wokół niej zasłuchani melomanii w towarzystwie płynających łabędzi.

W romantyczne wspomnienie wpisuje się także sesja zdjęciowa („prezent” NOKu) dla klubowych senierek „Jesiennych Entuzjastów” i „Ziemiarek” i z tym związana wystawa „Kobiety Plus”. Sesja odbyła się w wili Gioia Ś, i B. Burzyńskich, niegdyś należąca do żony ministra J. Becka, pierwszej damy międzywojennej dyplomacji. Na salonach wśród antycznych mebli, my seniorki w toaletach nawiązujących do tamtej epoki ulegając czarowi chwili, czułyśmy się jak księżniczki.

Gdybym miała namalować obraz „Wspomnienie Nałęczowa”, to niewątpliwie byłyby w kolorach wiosny i jesieni, przedstawiając: rudozłoty wawóz, białe plamy zawilców w parku i szafirowe w z dala pachnących fiołek w na skarpie ulicy kolejowej oraz niepozornego szarego słowika, którego cudny śpiew docierał nocą do mojej sypialni. Sielskość Nałęczowa podkreślał czarny kocurek śpiący na parapiecie, cukierni Pawłowskiego.

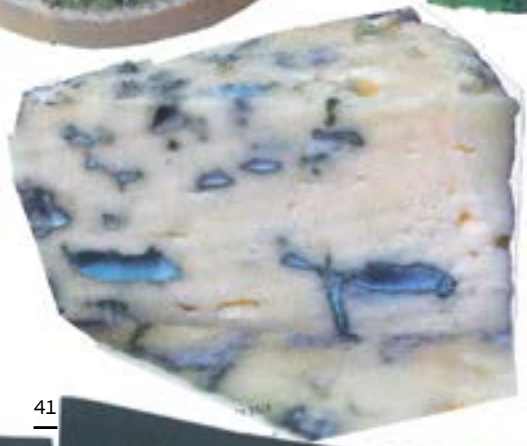
Namalować taki obraz, zadanie zbyt trudne, ale kochałam może kiedyś stworzyć!





**NAŁĘCZÓW –  
– MIASTO  
PASJONATÓW  
I ARTYSTÓW**

zwód obszerny



# Miasto moich pasji

ANETA BEDNARCZYK

---

Rękodzieło od dawna jest związane z moim życiem osobistym i zawodowym. Mnie i mojego męża połączyła pasja do ozdabiania przedmiotów i dawania im nowego znaczenia. Nasze prace mają cieszyć nie tylko oko ale i duszę człowieka, który je u nas kupuje. Kiedyś było to haftowanie obrusów i serwetek. Nastąpił w pewnym momencie też etap malowania porcelany oraz drewnianych desek. Od jakiegoś czasu moją pasją jest ozdabianie przedmiotów użytku domowego i osobistego techniką decoupage.

Gdzieś w głębi mnie kiełkowała myśl o tym, żeby gdzieś w Nałęczowie odbywała się impreza poświęcona tylko tematyce rękodzieła. W lipcu 2020 udało mi się zorganizować pierwszy Nałęczowski Jarmark Rękodzieła. To magiczne wydarzenie od roku gości w naszym miasteczku i raz w miesiącu zachwyca swoją oryginalnością. A mi udało się spełnić jedno z wielu marzeń.

Jednak jak zwykle się ma-  
wiać „nie samą pracą człowiek żyje”. Dlatego kiedy zobaczy-

łam na stronie Nałęczowskiego Ośrodka Kultury ogłoszenie o naborze do kółka teatralnego pomyślałam sobie, że kto się nie rozwija ten się cofa” i może warto wypłynąć na zupełnie znane do tej pory sobie wody... Pierwsze spotkanie odbyło się w lutym 2020r. Szłam na nie z wielkim podekscytowaniem bo nie wiedziałam kto na nie przyjdzie i jakoś przebiegnie. Sala klubowa NOK-u była tym miejscem, które prawdopodobnie mogło być świadkiem budowania się nowej historii. Nie było bowiem wiadomo co z tego spotkania wyniknie na przyszłość.

Rozmowy o teatrze i plan na następne spotkanie było bardzo ciekawym doświadczeniem. Uzmysłowiło mi, że to jest droga dla mnie i chętnie spróbuje czegoś nowego w swoim życiu. Czułam, że z tego projektu może wyjść coś świetnego. I tak też było.

W tamtym dniu choć jeszcze sobie nie zdawaliśmy sprawy narodził się Teatr Młodzi Duchem.





# Galeria „Jaśminowa”

IZABELLA NOWOTNY

---

Bywa, że przeżycia, doświadczenia wyprowadzają nas na ścieżki, bywa, że na bezdroża. Zdawało się, że tym razem mam do czynienia z bezdrożem. Rok 1996. Podczas urlopu na południu Francji trafiłam przypadkiem na galerię, a może należy ją nazwać muzeum sztuki nowoczesnej, różniącą się od wszystkich znanych mi tym, że znaczna część jej zbiorów wystawiona była w żywej i przyjaznej przestrzeni otwartej, w przepięknym krajobrazie prowansalskim. Miałam więc o Fundacji Marguerite i Aime Maeght, galerii sztuki współczesnej w Saint-Paul, w której rzeźby Joana Miro, Alexandra Caldera, czy Alberta Giacomettiego, mozaiki Marca Chagalla i Fernanda Legera ogląda się pod niebem Lazurowego Wybrzeża. Dzieła wzniesione przez artystów w harmonii z miejscem, którego naturalność nadaje im charakter, zaskakują i zdumiewają odbiorców.

To właśnie to miejsce urzekło mnie i zainspirowało. Kiedy opadły emocje zapragnęłam stworzyć galerię na otwartej

przestrzeni. Bezdroże. W polskim klimacie, nie mając miejsca, nie mając funduszy, nie mając doświadczenia ani nawet pojęcia o wystawianictwie. Bezdroże. Po którym wałęsało się marzenie. W 2001 roku zakupiłam w Nałęczowie posiadłość i w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że miejsce posiadam. Na bezdrożu pojawił się słaby trop. Trwało jeszcze kilka lat zanim przyszedł pomysł na formę – fotografię artystyczną drukowaną na banerze bądź folii. Dlaczego fotografia? Przede wszystkim ze względów praktycznych. Dzisiejsze technologie pozwalają na wystawienie fotografii na działanie aury przez cały rok, a taki właśnie był cykl wystawienniczy w galerii Jaśminowa. W naszej szerokości geograficznej to ważny argument. Specjalistyczne drukarnie, ale i mistrzowie fotografii, z dużym sceptycyzmem przyjęli tę alternatywę argumentując, że tak szlachetne medium, jakim jest fotografia artystyczna nie może być drukowane na tak ordynarnym nośniku jakim jest baner. Pozostałam przy swoim pomysłu, który stanowił rozwiązanie zarówno dla kosztów,

jak i polskiej pogody. Bezdroże stało się ścieżką,

Dlaczego upierałam się przy galerii plenerowej? Prawdą jest, że nie miałam do dyspozycji odpowiednich pomieszczeń wystawowych. Ale to nie był główny powód. Wystawy w otwartej przestrzeni dają dziełu sztuki wyjątkową możliwość zaprezentowania się, bez przytłumiającej obecności czterech ścian. Ściany ograniczają fantazję i myśli obserwatora, stwarzają wrażenie klaustrofobii, również intelektualnej. Plener gwarantuje swobodę spojrzenia, różnorodność skojarzeń. Na zboczach wąwozu, wśród starodrzewu, wkomponowane w rzeźbę terenu obiekty dopełniały scenografię. Wystawa prezentowana przez okrągły rok dawała możliwość doznań w słońcu, deszczu i śniegu, przyprawionych wonią zawilców lub gnijących liści, zakompaniamentem stuknięcia dzieciaków lub szumu deszczu... Plener łączył obraz, przestrzeń i dźwięk w jedno syntetyczne dzieło.

Czym ta ekspozycja różniła się od tych, zawieszonych na wielkomijskich płotach? Z założenia nie miała to być typowa wystawa plenerowa na płocie, bo płoty od siebie oddalone, na pochyłości wąwozu, zarośnięte krzewami. Co ważniejsze, na płocie fotografie prezentują

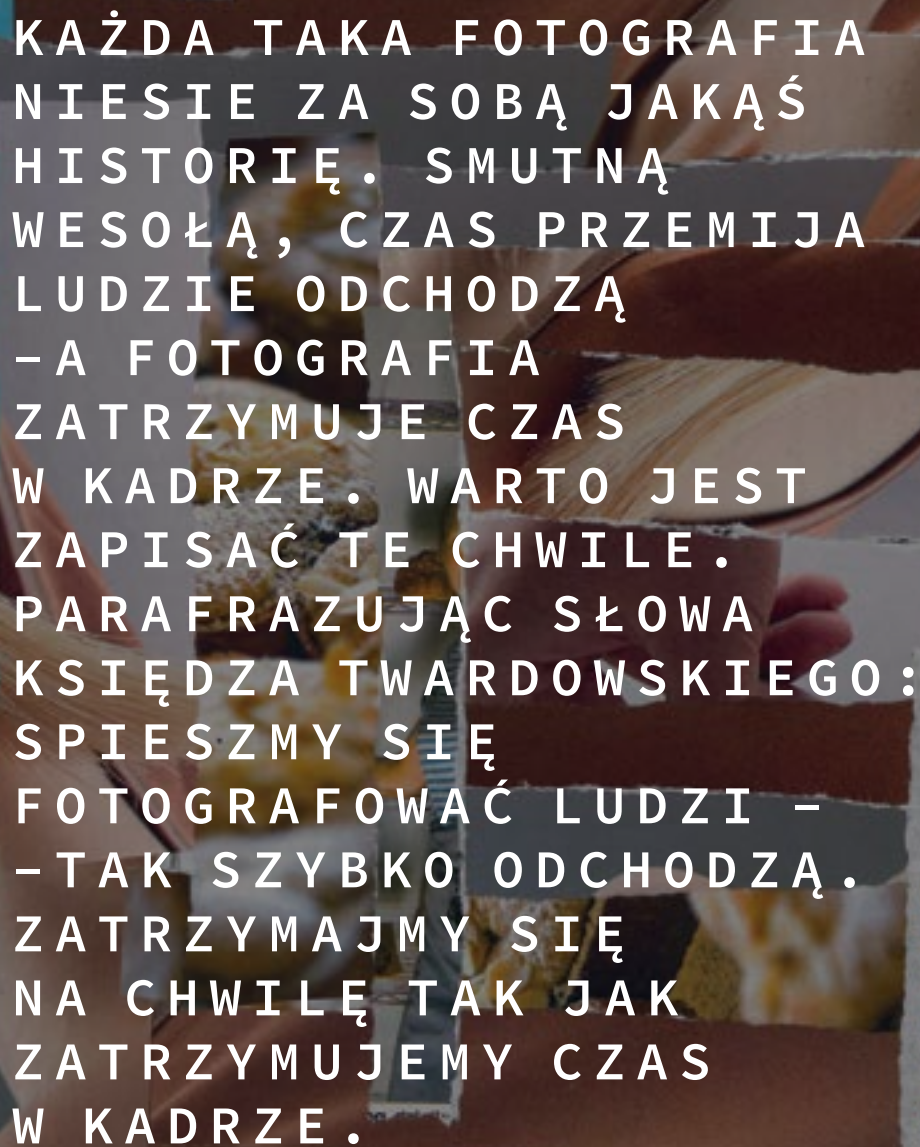
się w szeregu, tracimy trójwymiarowość, możliwość dopasowania eksponatu do otoczenia w którym jest wystawiany, w konsekwencji cierpi na tym ekspresja. Plusem jest, że natknę się na nią przygodny przechodzień.

Przystąpiłam do pierwszej realizacji. Bez doświadczenia. A więc temat? Niech będzie woda, a potem można lecieć po żywiołach stwierdził dyrektor Uzdrowiska do spraw marketingu pan Andrzej Kozłowski – woda jest przecież istotą uzdrowiska naleczowskiego. Był więc pomysł. Jak zawiesić? Poszłam po poradę do Mariana Pudełki, który jako rzeźbiarz powinien posiadać wyobraźnię przestrzenną – posiadał. Powieś na linie przetrzuconej przez wąwóz, rozwieszonyj między drzewami, na domu... poradził.

Jeszcze kilka miesięcy pracy i pierwszy wernisaż.

W jakimś sensie była to moja „ulańska fantazja”. Podpisuję się więc pod wypowiedzią twórcy Fundacji w Saint-Paul panem Aime Maeght, przytaczam w wolnym tłumaczeniu: Stworzyłem tę Fundację z pobudek egoistycznych, dla własnej uciechy, mając nadzieję przekazania innym chociaż cząstki tej radości, którą mnie daje.





KAŻDA TAKA FOTOGRAFIA  
NIESIE ZA SOBĄ JAKĄŚ  
HISTORIĘ. SMUTNĄ  
WESOŁĄ, CZAS PRZEMIJA  
LUDZIE ODCHODZĄ  
- A FOTOGRAFIA  
ZATRZYMUJE CZAS  
W KADRZE. WARTO JEST  
ZAPISAĆ TE CHWILE.  
PARAFRAZUJĄC SŁOWA  
KSIĘDZA TWARDOWSKIEGO:  
SPIESZMY SIĘ  
FOTOGRAFOWAĆ LUDZI -  
- TAK SZYBKO ODCHODZĄ.  
ZATRZYMAJMY SIĘ  
NA CHWILĘ TAK JAK  
ZATRZYMUJEMY CZAS  
W KADRZE.

# Historia światłem fotografii zapisana

RAFAŁ BIELIŃSKI

---

W moim rodzinnym domu fotografia zawsze stanowiła niewralgiczną część naszego życia. Mnie osobiście fascynowały historie zapisane na starych zdjęciach.

Mój ojciec Henryk w pierwszych latach powojennych był posiadaczem aparatu fotograficznego. W tamtych czasach nie każdy mógł sobie na to pozwolić. Do dziś w „rodzinnym albumie są fotografie ze spacerów po parku nałęczowskim. Mam zapisane na kliszy jak wyglądał pałac, ulice naszej miejscowości. Pamiętam dokładnie te białe czerwone słupki i łańcuchy przy jezdni, a także malowanie krawężnik w na majowe święto. Taki był wtedy ten „nasz” Nałęczów.

Zawsze zachwycała mnie otoczką związana z robieniem zdjęć, chwila zapisana w kadry. Do każdego zdjęcia jest przypisana jakaś historia człowieka, miejsca, wydarzenia. A wszystko to tworzy jakąś opowieść...! Będąc już w szkole średniej zapisałem się do kółka fotograficznego i połączyłem

bakcyła. Tam się nauczyłem co to ciemnia, powiększalnik.

W Nałęczowie na ulicy Lipowej mieścił się zakład fotograficzny pana Wiesława Malickiego, jedynego fotografa w okolicy. Doskonale pamiętam ten półmrok panujący we wnętrzu willi Pod Jesionem oraz ciszę i zapach „chemii” fotograficznej. Była tam jakaś magia, coś nieznanego, tajemniczego, ale bardzo ciekawego, a zarazem pociągającego. Pan Wiesław ma ponad dziewięćdziesiąt lat a fotografuje pewnie osiemdziesiąt. Kronikarz z zamiłowania, zawsze uwieczniał życie naszego miasteczka. Pamiętam jak mówił „jak zostawało mi w aparacie 3-5 klatek to wychodziłem na spacer, tu zrobiłem zdjęcie jakiegoś placu czy drzewa, tam jakiś pejzaż, pojazd, orkiestrę dętą OSP, czy też scenkę rodzajową”. Tak to właśnie zapisywał, jakąś część historii naszej uroczej miejscowości. I właśnie on zaszczepił we mnie taką wrażliwość na otaczający nas świat. Zawsze spokojny, opanowany jakby poza otaczającą rzeczywistością. Patrzący na świat przez pryzmat obiektywu. Wspaniale

potrafi opowiadać i to nie tylko o robieniu zdjęć, ale także historię jakich nie znajdziemy w żadnym przewodniku. A gros jego zdjęć to są prace czarno-białe. Potrafił oddać klimat za pomocą czerni i bieli oraz wszystkich odcieni szarości.

Duże wrażenie zrobiły też na mnie zdjęcia pana Czarkowskiego, fotografa z początku XX wieku, mającego pracownię na ul Granicznej w Nałęczowie. Ten budynek istnieje do dzisiaj. Zapisał historię naszej miejscowości, powódź, cyganów z niedźwiedziem. Albo wóz z wołem. Osobiście znam potomka pana Czarkowskiego, który przekazał kilka odnalezionych zdjęć dla potomnych. A prace pana Czarkowskiego można obejrzeć w Urzędzie Miasta nastaje ekspozycji.

Osobną częścią mojej opowieści jest willa Pod Matką Boską. Pamiętam jak kiedyś przyjechała tam pani fotograf i mierzyła światło światłomierzem zewnętrznym tuż przy modelu. Byłem dzieckiem, ale dobrze to pamiętam. Aparat to był jakiś na tzw. szeroki film i jakaś lustrzanka, bodajże niemiecka. Zdjęcia były robione po południu o tak zwanej złotej godzinie. To magiczny czas dla fotografa, malarza, poety. Mam te zdjęcia do tej pory.

Innym razem była tam ekipa filmowców i kręciła film

omuzeum, które tam wtedy było. Pani Ewelina, właścicielka willi, pasjonowała się historią i kulturą. Moja mama Wanda pracowała tam wtedy, a ja jako kilkulatnie pacholę płątałem się tam i chłonałem klimat tego domu-nałęczowskiego domu. I to też ukształtowało moją wrażliwość i patrzenie na świat.

Moje pierwsze świadome kroki fotograficzne wykonywałem niemieckim aparatem lunetkowym Altiks, tym po ojcu. Potem kupiłem lustrzankę Zenit. Kolejno dokupowałem obiektywy, lampę błyskową na prąd sieciowy. Te na baterię były za drogie jak na kieszeń młodego człowieka oraz trudno dostępne. Zaczęły się godziny spędzane w ciemni, na plenerach, rejestrowanie wydarzeń rodzinnych czy relacjonowanie wydarzeń miejskich dla mediów, pierwsze próby dziennikarsko-fotoreporterskie. Patrzenie na świat przez obiektyw dało mi inne spojrzenie na rzeczywistość, czasami nawet w krzywym zwierciadle, umiejętność znalezienia jakiegoś elementu charakterystycznego dla osoby czy miejsca. Najtrudniej jest zrobić dobre zdjęcie osoby, obok której przechodzimy na co dzień.

Obecnie w dobie fotografii cyfrowej nadal liczy umiejętność patrzenia na otaczający nas świat, wrażliwość. Choć

teraz jest łatwiej uczyć się fotografii, efekt jest widoczny natychmiast.

Teraz już będąc już człowiekiem w średnim wieku zaczynam się łapać na tym, że przechodząc obok jakiegoś miejsca myślę: tu był jakiś placyk a teraz jest budynek, tam rosło drzewo teraz jest plac zabaw. Otaczający nas świat ciągle ulega przemianom. Albo jeszcze inaczej. Gdy robię porządku gdzieś na strychu czy w piwnicy i nagle wpada w ręce jakieś pudełko, starannie zabezpieczone, a w środku są stare fotografie, otwiera się księga wspomnień. Każda taka fotografia niesie za sobą jakąś historię. Smutną wesołą, czas przemija ludzie odchodzą – a fotografia zatrzymuje czas w kadrze. Warto jest zapisać te chwile. Parafrazując słowa księdza Twardowskiego: Spieszmy się fotografować ludzi – tak szybko odchodzą. Zatrzymajmy się na chwilę tak jak zatrzymujemy czas w kadrze.





# **NAŁĘCZOWSKIE KAWIARNIE**



## OKIEM HISTORYKA

### WILLA „POD MATKĄ BOSKĄ

Unikalnym miejscem na mapie Nałęczowa pozostaje wzniesiona pod koniec XIX wieku zabytkowa willa „Pod Matką Boską”. Od samego początku swojego istnienia obiekt ten, znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie Zakładu Leczniczego przyciągał kuracjuszy swoją atmosferą i architekturą. Budynek prezentuje charakterystyczny dla Nałęczowa styl włoskiej willi. Sama jej nazwa wzięła się od umieszczonej na jednym z przyczółków w płaskorzeźbie przedstawiającej Matkę Boską z Dzieciątkiem.

W pierwszej połowie XX wieku przebywali tutaj wybitni polscy literaci. Jednym z nich był Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), który jako kuracjusz nałęczowskiego Zakładu Leczniczego zatrzymywał się w pawilonie letnim willi w latach 1900-1910. Na przełomie ostatniego wieku w willi gościły również takie

postaci jak Ewa Szreburg-Zarembina, Czesław Miłosz, Andrzej Wajda, czy Ryszard Kapuściński.

W panoramie pamięci współczesnych mieszkańców miejsce to kojarzone jest głównie z działającą wewnątrz od lat 60 XX wieku kawiarnią „Ewelina”. Od kilku dekad jest to przestrzeń spotkań lubelskich artystów i lokalnej bohemy.


*Na podstawie: Michał Tarka, Dzieje Nałęczowa, Nałęcz w 1989; Anna Sikora-Terlecka, OT NID w Lublinie, 02.07.2014; <https://zabytek.pl/pl/obiekty/naleczow-willa-pod-matka-boska-ob-kawiarnia-restauracja-pens>.*





# Został tylko Bechstein

JERZY JAKIEWICZ



Nałęczów, Willa pod Matką Boską. W 1882 roku Edward Raciborski, przedsiębiorca warszawski zbudował tę piękną, fantastyczną willę na działce między ulicą 1 Maja, Prusa, Kościuszki i Lipową. Była to pierwsza willa w Nałęczowie. Edmund Raciborski zbudował ją jako letnią rezydencję. W latach 1900 – 1920 gościem tej pięknej willi był Bolesław Prus.

W 1943 roku stacjonował w niej batalion SS. Jest takie zdjęcie w tym domu - nad wejściem od strony północnej widnieje w mundurze esesmana niemiecki żołnierz.

Willa jak większość majątk w przechodziła z rąk do rąk.

Przed wojną panowie miewali różne fantazje i różnego rodzaju zachcianki. Grywali w pokera, kochali piękne kobiety, wzięli z czym zadłużali się i ta willa przechodziła z rąk do rąk jak większość majątk w przedwojną. W wyniku krótkiej niepodległości II RP willa była zadłużona wobec skarbu Państwa a w połowie była własnością obywatela Stargardu Szczecińskiego.

Po wojnie tutaj mieściła się szkoła i posterunek milicji obywatelskiej. Mój wuj, Stanisław Bartosiewicz, który w czasie wojny pływał na niszczycielu ORP Garland przyplynał do Gdyni w czerwcu '47 roku na niszczycielu Błyskawica. Zamiesz-

kał w Chełmie (lubelskim). Tam poznał mego ojca, który wrócił z niewoli niemieckiej. Było to bardzo fascynujące zjawisko, ponieważ mój ojciec miał piękną siostrę. Poznał najpierw mego ojca, potem ciotkę Ewę. Ożenił się z nią. Leczył żonę szefa w NKWD. Ta pacjentka była bardzo wdzięczna. Powiedziała: „Panie doktorze, jutro o 4 rano”. Wuj wziął swoją żonę Ewelinę i wyjechali do Wąwolnicy. Po prostu oficerowie, którzy wracali z Zachodu zwykle kończyli albo długoletnim wyrokiem więzienia albo śmiercią.

Pewnego razu wuj jechał samochodem do Lublina z Ewelina, a był to rok '59. W pewnym momencie Ewelina, rozglądając się na lewo i na prawo powiedziała takie słowa: „Zobacz Stanisław, jaki to piękny dom”. A on powiedział: „Jutro ci go kupię”. Ja uważam, że kiedyś bywały kobiety, które miały kaprysy i kiedyś bywali mężczyźni, którzy zaspakajali te kaprysy. I on to kupił. Kupił tę willę pod Matką Boską. W połowie od Państwa a w połowie od pana ze Stargardu Szczecińskiego. Z tym, że nie wiedział co kupił.

Na pierwszym piętrze trzy lokale tejże willi zajmowała milicja obywatelska. W dziesiętych pokojach pensjonatowych, w szóstce mieścił się areszt bez łazienki, w piątce mieszkał komendant z rodziną

a w czwórcie było archiwum.

W jedynce, w najpiękniejszym pokoju od strony południowej mieszkał profesor Tyszkowski. Był profesorem muzyki. Miał fantastyczny instrument – fortepian Bechsteina. A my z Jackiem, czyli synem Eweliny i Stanisława Bartosiewiczów i moim bratem Andrzejem nazwaliśmy go szczerem, ponieważ miał taką fizjonomię. Po wielu, wielu latach stwierdziłem, że pan profesor był kleptomaniem. Kiedy zmarł, przyjechał jego syn z Warszawy, poprosił moją ciotkę Ewelinę i powiedział tak: „Pani Ewelino, ja wiem, że tatuś był chory. Proszę wejść, co jest pani sobie wziąć. Proszę wziąć wszystko”. I ona zabrała swój tapczan, obrazy, krzesła, stół. Został tylko Bechstein.

W 1961 roku wuj Stanisław Bartosiewicz zmarł nagle we wrześniu. Ewelina po kilku latach została prawie bez środków do życia, w związku z czym założyła pensjonat. Pensjonat, w którym były piece, nie było wody, nie było kanalizacji i to wszystko dzięki niej, dzięki tej atmosferze, którą stworzyła, funkcjonowało doskonale.

W 1966 roku dzięki jej fantastycznemu charakterowi i determinacji milicja obywatelska opuściła tę willę przy wydatnej pomocy wczesnego naczelnika miasta i gminy Nałęcz w, Leona

Ginalskiego. Obydwie te osoby według mnie spowodowały zbudowanie komisariatu, w wczas milicji, dzisiaj policji na ul. Kościuszki. Rzecz bardzo ciekawa, jest to pierwszy w PRL-u poświę-

cony posterunek. Proszę sobie wyobrazić, że został poświęcony o 12 w nocy przez ówczesnego księdza proboszcza, który idąc na tę uroczystość tak się bał, że po drodze zgubił kropidło.



## Barany

MARIA SZYSZKOWSKA

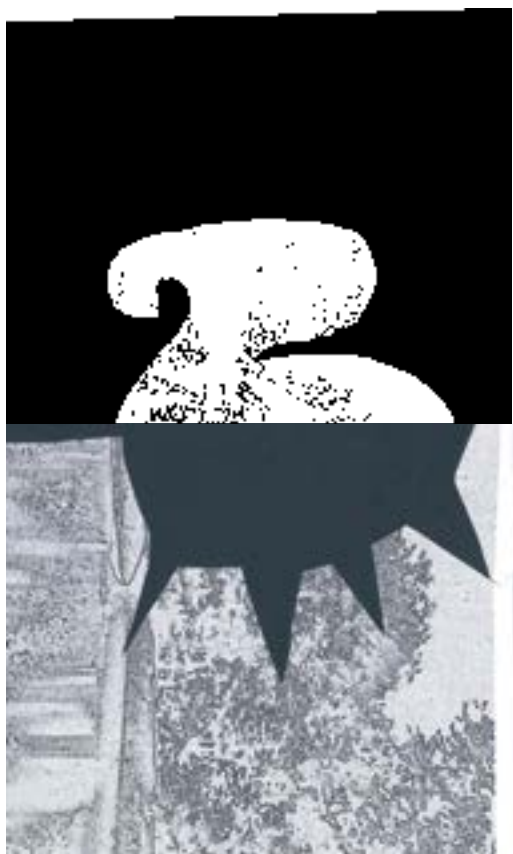
---

Pagórki Nałęczowa będą mi się zawsze kojarzyły z owcami. Hodowano w okolicach Bochothnicy barany w ostatnich dziesiątkach lat dwudziestego wieku, nie tylko po to, by szyć z nich w Kurowie kożuchy. Hodowano także dlatego, bo w Dęblinie uczyli się sztuki łatania Libijczycy żywiący się najchętniej jagnięciną i baraniną.

Piątkowe wieczory i soboty wielu z nich spędzało w Nałęczowie, w domu i w ogrodzie Mariana Ćwiklińskiego, rodowitego Nałęczowianina. Jego ojciec miał tu

przed wojną sklep rzeźniczy. Marian Ćwikliński dorobił się pracując w sadzie, co pozwoliło mu kupić malowniczy dom nad słynną willą „Czekoladką”. Kupił go od pana Szejmana, wyjątkowo barwnej postaci Nałęczowa przełomu wieków. Był on artystą i znawcą sztuki, człowiekiem towarzyskim, wspaniałym tańcem. Sam zaprojektował dom, który sprzedał Marianowi.

Marian Ćwikliński zapraszał gości do swojego domu, a wśród nich Libijczyk w. W lecie piło się wino i mocne trunki, tańczyło na trawie przy dźwię-



HODOWANO W OKOLICACH  
BOCHOTNICY BARANY  
W OSTATNICH DZIESIĄTKACH  
LAT DWUDZIESTEGO WIEKU

kach akordeonu i dyskutowało o sprawach istotnych, Byłam upoważniona do zapraszania moich znajomych do domu Mariana i korzystałam z tej możliwości.

Na przykład, gościem tych spotkań był kiedyś jeden z moich studentów, Amerykanin, który słuchał moich wykładów na Uniwersytecie Wiedeńskim. Celem jego przyjazdu było zobaczenie obozów koncentracyjnych, bowiem nie wierzył, (w czym nie był odosobniony w Stanach Zjednoczonych) że Niemcy je zbudowali.

Niezwykłe zdarzenie miało miejsce na początku lat dwięćdziesiątych dwudziestego wieku. Przyjechała do mnie, do Warszawy żona słynnego oboisty austriackiego. Pokazywałam jej miasta w Polsce, także Nałęczów. Któregoś wieczoru zaprosiłam ją na kolację do Mariana. Rozmowa toczyła się wokół wydarzeń politycznych. Marian Ćwikliński opowiadał m.in. o swoim ojcu, który, w czasie okupacji niemieckiej został zesłany do obozu koncentracyjnego w Austrii. Gdy wymienił nazwę obozu: Mauthausen – Austriaczka, Annemarie zbladła.

Pochwili wstała z leżaka i łamiącym głosem wykrztusiła, że jej ojciec był jednym z nadzorców w tym obozie. Zapadła głucho cisza. Przerwało ją łkanie Annemarie. Nieoczekiwany był widok rzucających się sobie w objęcia Annemarie i Mariana, córki kata i syna ofiary.

Zaczął się wkrótce rok akademicki i wyjechałam do Wiednia. Któregoś dnia zatelefonowała do mnie Annemarie zapraszając do swojego domu rodzinnego. Powitał mnie jej ojciec. Łatwo wyobraziłam go sobie w mundurze. Z ukrywanym niezadowoleniem przyjął informację, że będąc Polką nauczam Austriak w filozofii.



# Krzesła

JOLANTA JAKIEWICZ

---

Wspomnienia to małe chwile zatrzymane w kadrze naszego umysłu. Wracamy do nich często i chętnie bądź przeciwnie, czasami wolimy zapomnieć.

Kiedy byłam nastolatką niezbyt chętnie odwiedzałam Nałęczów. Wtedy wydawał mi się nieciekawym i zwyczajnie nudnym. Z jednym wyjątkiem. Moje wspomnienie z Nałęczowa to kawiarnia „Ewelina” i ogród ją otaczający. Przechodząc bądź przejeżdżając Aleją Lipową zawsze spoglądałam przez ogrodzenie i uwagę moją przykuwały misterne krzesła i stoliki w oryginalnym fioletowym kolorze. Latem rozstawione na tarasie pełnym zasiadających na nim gości. Zimą puste i smutne. Miejsce to jawiło mi się jak zaczarowany ogród, do którego ja nie miałam wstępu. Ale po latach przekroczyłam próg tego magicznego miej-

sca, bo przecież w Nałęczowie wszystkie drogi prowadzą do „Eweliny”. No, może prawie wszystkie... Jeszcze wtedy nie wiedziałam jak bardzo ta wizyta zmieni moje życie. Wspomnę tylko, że dane mi tu było poznać wspaniałą i niezwykłą kobietę, prof. Marię Szyszkowską. Zawsze były mi bliskie jej poglądy, za które bardzo ją cenię. Pokonując moje kompleksy i nieśmiałość brałam udział we wtorkowych spotkaniach. Między innymi dzięki tym spotkaniom budowałam poczucie własnej wartości.

Mario, dziękuję. Inne wspomnienia są zbyt prywatne, aby je tutaj zamieszczać. A na krzesła pamiętające czasy pierwszej właścicielki „Eweliny” pani Eweliny Bartosiewicz, ciotki mojego męża, zawsze będę patrzeć ze szczególnym sentymentem.

# Chatka

JAN STĘPIEŃ

---

W końcu XX wieku istniała w Nałęczowie niezapomniana kawiarnia „Chatka” nawiązująca do rustykalnych tradycji. Wieczorami gromadziła się tam rozdyktowana młodzież. Przewodził jej malarz Waldemar Wojczakowski, związany z Kazimierzem, określanym mianem Diabła z racji swojego wyglądu.

W czasie jednych z wakacji zamieszkałem z Marią, czyli żoną, w „Chatce”. W kawiarence działy się rzeczy dziwne i metafizyczne. Między innymi pracująca tu kelnerka, studentka z Gdańska, zainicjowała seanse spirytystyczne. Ale to temat odrębny. Chciałbym skupić się na zdarzeniu, które dotyczyło Marii.

Otóż w soboty i niedziele „Chatka” oblegana była przez kuracjuszy. Janeczka, właścicielka tej kawiarni, zwróciła się do mnie z pytaniem czy mógłbym jej pomóc jako kelner. Ochoczo przystałem na tę propozycję. Lubilem nowe doznania. Na pytanie Ma-

rii dlaczego Janeczka jej nie proponuje pracy, usłyszała w odpowiedzi: Ale przecież ty jesteś docentem! Nie śmiałam cię o to prosić. Ale to nie ma nic do rzeczy! Ja też lubię nowe doznania – opowiedziała stanowczym głosem Maria.

Itak zostaliśmy sobotnio-niedzielnymi kelnerami w kawiarni „Chatka”. Podawaliśmy gościom do stołu kawę, herbatę, lody i flaczki. Kelnerowanie dawało nam radość. Była to zabawa. Oczywiście, otrzymywaliśmy napiwki. Maria oddawała napiwki Janeczce, ja natomiast zatrzymywałem dla siebie, oczywiście za wiedzą Janeczki.

Którejś soboty, gdy było mniej gości w kawiarni, Maria pracowała, ja zostałem w pokoju i kolejny już raz czytałem, a właściwie pochłaniałem powieść pt. „Martin Eden” Jacka Londona.

Gdy po pracy do pokoju weszła Maria, odłożyłem książkę i spytałem: Jesteś zmęczona? – Wyobraź sobie, że jeden z gości klepnął mnie po pupie – po-





wiedziała bardziej z nutą zdziwienia niż oburzenia.

- Co?! Zaraz dam mu w mordę! -

- odpowiedziałem zdenerwowanym głosem i ruszyłem w stronę drzwi.

- Poczekaj. On już poszedł.

Zapanowało kłopotliwe milczenie, które przerwała Maria:

- Jesteś rycerzem.

- M wiłem ci, że trenowałem szermierkę.

- No, to mogę czuć się przy tobie

bezpieczna, więc chodźmy na kolację!

Zeszliśmy na dół postarych, cudownie skrzypiących schodach. Nie przypuszczaliśmy w czasie ani tego, że opuścimy Warszawę i osiadziemy w Nałęczowie, ani tego, że po kilku latach bliskim sąsiadem zostanie Diabeł.





# Niezapominajka i miłość

ANETA BEDNARCZYK

---

Było to już po skończeniu szkoły średniej. Mając 19 lat poznałam pewnego chłopaka, który pochodził właśnie z Nałęczowa. Długo nie dałam się namawiać i z wielką chęcią przyjechałam w odwiedziny. Kiedy już wysiadłam i pierwsze nasze kroki poprowadziły nas od razu do parku zdrojowego, wiedziałam że moje marzenie właśnie się spełniło... Jestem w Nałęczowie, słynnym uzdrowisku i mogę podziwiać jego uroki, tak odmienne od tego co na co dzień widziałam w moim Kazimierzu. Piękny park, stare wille, ogrody, tyle zieleni, śpiew ptak w. To wszystko zachwycało mnie i ten zachwyt trwa do dzisiaj. Kolega opowiedział mi historię miasteczka i pokazał naj-

fajniejsze miejsca w Nałęczowie.

Jednym z takich miejsc okazała się herbaciarnia „Niezapominajka”. Nie da się ukryć, że pierwsze wejście do środka herbaciarni zrobiło na mnie bardzo duże wrażenie. Był upalny dzień, a w środku panował przyjemny chłód. Sala była wyposażona w kilka stolików, część z nich była oddzielona od siebie chyba matami lub innym przepierzeniem. Na wprost wejścia głównego stał stolik na którym znajdowały się farby do malowania porcelany, pędzle, filiżanki, jedne już gotowe, inne przygotowane do ozdobienia. Za nim było duże akwarium. Obok stał duży kredens wypełniony porcelaną już gotową na sprzedaż, kapturki na czajniczki, miody.

Na ścianach wisiały obrazy i różne bibeloty, wielkie wachlarze. Sufit przyozdabiały wiklinowe klosze z papierowymi lampionami. Po lewej stronie przy wejściu usytuowany był bar. Na nim stały miody pitne. Ale także stare butelki, różnego rodzaju porcelanowe rzeczy. Za nim była wielka ściana na której były porobione półki (z tyłu lustro) a na tych półkach stały słoiczki i puszki wypełnione herbatami rozmaitej maści: czarne, zielone, owocowe, mieszanki stworzone przez właściciela. A także kawyróżnych gatunków. Zapach jaki się unosił jest trudny do

opisania. Ilość zmysłów jaka została wtedy pobudzona do tego żeby chłonąć to miejsce jak najintensywniej chyba mnie zaskoczyła. Nigdy wcześniej nie byłam w takim lokalu, gdzie od razu człowiek czuł się jak u siebie. To było bardzo miłe uczucie. To wszystko co na oko mnie się działo było jak magia. Niebanalne miejsce, zapach, klimat, atmosfera.

Ale największą moją uwagę przykuł chłopak, który pracował za barem. Lekko zamysłony skupiał się na tym, co w tej chwili ma zrobić. Podczas następnych kilku minut udało nam się zamienić ze sobą kilka zdań. I tak zaczęła się prawdziwa przygoda miłosna w herbaciarni „Niezapominajka”. Później wiele razy bywałam w „Niezapominajce” już sama. Nałęczów przyciągał mnie do siebie swoją tajemniczą energią i gdybym mogła, spędzałabym w nim każdą wolną chwilę. A pierwsze kroki po wyjściu z autobusu zawsze kierowałam do Niezapominajki.

Po dość krótkim czasie z tajemniczym mężczyzną staliśmy się sobie bardzo bliscy. I tak jest do dziś dnia. Jest moim mężem i wielką miłością życia... A Nałęczów stał się moim miejscem na ziemi.

# Kryteria wyboru

WIESŁAWA KADZIKIEWICZ

---

W mojej pamięci wciąż tkwi mój pierwszy pobyt w Nałęczowie. Szukałam z mężem miejsca na wypoczynek spełniający określone kryteria: w niedużej odległości od Warszawy, nie na wysokich górkach, czyli łatwy do spacerów, cichy bez dużej ilości turystów. Po krótkiej naradzie z mężem wybrałam Nałęczów.

Od razu urzekł mnie park zadbany, pełen starych drzew, jakby rozmawiających ze mną. Kwaterę odnalazłam... i tu niespodzianka. Droga do budynku prowadziła pod górę po stromym podejściu. Jest w Nałęczowie kilka ulic o podobnym układzie, ale o tym dowiedziałam się później w czasie kolejnych spacerów po miejscowości.

Mieszkanie było przytulne, ale strasznie małe. Niesamowita była pierwsza noc w Nałęczowie. Zmęczona nadmiarem wrażeń położyłam się, ale nie mogłam zasnąć. Miałam oczy cały czas otwarte i rozmyślałam. Wpatrzona w nieprzenikniętą ciemność, żałowałam przy-

jazdu. Wyszedłam na balkon. Ale tu przywitała mnie ciemność oświetlona małymi światłami w ogrodzie. Cisza, która była następnym kryterium wyboru miejsca wypoczynku dokuczała straszliwie, odgłosy sów nie stwarzały miłej atmosfery. Zrezygnowana, śpiąca, wróciłam do pokoju. Na wszechobecną ciemność znalazłam rozwiązanie, zapaliłam światło w łazience. Pozostał tylko do rozwiązania problem, gdzie spocząć, by dotrwać do rana. Noc dłużyła się. W końcu rozłożyłam mały materacyk na podłodze przy wyjściu na balkon. Do dziś pamiętam wyraz twarzy męża, gdy obudził się w nocy.

Oczywiście była to ostatnia noc w tym miejscu, ale nie ostatnia w Nałęczowie. Ta pierwsza noc nie zraziła mnie do uroczego miasteczka, ponieważ ilość pozytywnych przeżyć w tym miejscu sprawia, że zawsze chętnie do niego wracam.









SZKODA, ŻE MÓJ PRADZIAD  
NIE BYŁ CHŁOPEM. CAŁY  
MAJĄTEK, KTÓRY POZOSTAŁ  
PO RZEMIEŚLNICZEJ  
RODZINIE BORCHERTÓW TO  
STARA, MAJĄCA PRZEDE  
WSZYSTKIM WARTOŚĆ  
SENTYMENTALNĄ MASZYNA  
DO SZYCIA, PODCZAS GDY  
JESZCZE WNUK MOJEGO  
KUZyna, SZÓSTE POKOLENIE,  
BĘDZIE MIAŁ Z PEWNOŚCIĄ OD  
CZEGO „ODCINAĆ KUPONY”.



# Maszyna do szycia

IZABELLA NOWOTNY

---

Bywalcy kawiarni - galerii „Jaśminowa” w Nałęczowie z pewnością pamiętają starą, singerowską maszynę do szycia, taką z pedałem i kołem zamachowym. Element wystroju kawiarni, należała niegdyś do mojego pradziada, krawca ubiorów ciężkich.

W drugiej połowie wieku dziewiętnastego Polacy wprawdzie nie mieli ani państwowości, ani wolności, ale gospodarka w Królestwie Polskim kwitła. Była więc duża migracja z ubogich krajów Europy, takich jak niemieckie państewka czy Holandia. Wtedy to, uciekając przed wojną Francusko-Pruską, ściągnął wokolice Mościsk i otworzył tu zakład krawiecki mój pradziad Julian Borchert, żonaty, z kilkorgiem dzieci. Moja babka, jedna z młodszych latorośli, urodziła się już w Królestwie Polskim. Nadano jej imię Elizabeth, ale w domu nazywano ją Lipka, to spolszczone zdrobnienie od niemieckiego Liebchen - kochana. Tak więc, choć pradziadowie bardzo słabo mówili po polsku, to polskość nieodparcie wkraczała do ich domu.

Synowie dorastając sięgali po zawody rzemieślnicze - jeden został kowalem, inny rzeźnikiem... Córki wychodziły za mąż. Ich wiano nie było zbyt imponujące, moja babka dostała po ojcu maszynę do szycia, której używała wyłącznie na własne potrzeby. Kiedy już nie była jej potrzebna, podarowała maszynę mojej matce, a ta po latach mnie.

W 1905 roku pradziad, wtedy już wiekowy, zachorował i wiadomo było, że dni jego są policzone. Leżało mu ciężarem na sercu, że najmłodsza córka Natalia jeszcze nie wyszła za mąż. Natalia miała dwu chubiegających się o rękę: polskiego dziedzica, który w oczach dziadka był lekkoduchem i syna niemieckiego kolonisty, rolnika. Młodej dziewczynie marzyło się zostać Panią Dziedziczką. Ale tuż przed śmiercią ojciec przywołał ją i poprosił, poprosił, nie zażądał, żeby poślubiła Niemca. Chcę wiedzieć, że twój los jest w rękach człowieka, któremu mogę zaufać. Zwolnił młodą parę z żałoby i zażądał, żeby jak najszybciej po jego śmierci pobrali się.

Młoda dziewczyna posłuchała ojca i wyszła za mąż za rolnika Schaefera. Patriarcha rodu Schaeferów przybył woko-

lice Mościsk w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku ze Schwarzwaldu. Byli to chłopci, których głód wygnał na tułaczkę. Pracowici i oszczędni za każdy zarobiony grosz kupowali skrawek ziemi, której Polacy chętnie się wyzbywali. I tak Schaeferowie stali się właścicielami dużych obszarów ziemskich w okolicy Mościsk. Tę ziemię posiadają do dziś, sprzedając co jakiś czas kilka działek budowlanych, ot na potrzeby bieżące.

Szkoda, że mój pradziad nie był chłopem. Cały majątek, który pozostał porzemieślniczej rodzinie Borchert w to stara, mająca przede wszystkim wartość sentymentalną maszyna do szycia, podczas gdy jeszcze wnuk mojego kuzyna, szóste pokolenie, będzie miał z pewnością od czego „odcinać kupony”.





# Spis treści

O projekcie	3
-------------	---

## PAŁAC MAŁACHOWSKICH

<b><i>Mój Pałac Małachowskich</i></b>	10
Helena Broniewska	10
Izabella Nowotny	11
Jerzy Jakiewicz	14
Jolanta Jakiewicz	15
Aneta Bednarczyk	16
Rafał Bieliński	17
Jan Stępień	19
Wiesława Kadzikiewicz	19
Maria Szyszkowska	20
Krzysztof Zalech	21

## NAŁĘCZÓW – MIASTO PRZESYCONE MAGIĄ MIEJSC I OSÓB. GENIUS LOCI.

<b><i>Mrok, blask i lalka szmacianka</i></b>	25
Anna Antoszewska	
<b><i>Tamara i perły</i></b>	28
Jerzy Jakiewicz	
<b><i>Nałęczowski genius loci</i></b>	30
Izabella Nowotny	
<b><i>Źródło miłości</i></b>	34
Krzysztof Zalech	
<b><i>Zachwyć mnie</i></b>	35
Maria Przybyłko	
<b><i>Namalować obraz</i></b>	38
Sabina Seroczyńska-Kozuba	

## **NAŁĘCZÓW – MIASTO PASJONATÓW I ARTYSTÓW**

<i>Miasto moich pasji</i>	42
Aneta Bednarczyk	
<i>Galeria „Jaśminowa”</i>	45
Izabella Nowotny	
<i>Historia światłem fotografii zapisana</i>	48
Rafał Bieliński	

## **NAŁĘCZOWSKIE KAWIARNIE**

<i>Został tylko Bechstein</i>	55
Jerzy Jakiewicz	
<i>Barany</i>	57
Maria Szyszkowska	
<i>Krzesła</i>	61
Jolanta Jakiewicz	
<i>Chatka</i>	62
Jan Stępień	
<i>Niezapominajka i miłość</i>	65
Aneta Bednarczyk	
<i>Kryteria wyboru</i>	67
Wiesława Kadzikiewicz	
<i>Maszyna do szycia</i>	71
Izabella Nowotny	



Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski  
w Warszawie w ramach Programu "Patriotyzm Jutra"



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego



PA  
TRIO  
TYZM  
JUTRA

## Organizator



## Partnerzy



Honorowy Patronat  
Burmistrza Nałęczowa  
Wiesława Pardyki



## Partnerzy medialni



www.naleczow.com.pl  
**GAZETA**  
NAŁĘCZOWSKA



